

MIROŚŁAWA
KARETA

POKOCHAŁAM
WROGA

WYDAWNICTWO WAM

~ I ~

niedziela, 12 listopada 1989

Tysiące ludzi oblegały mur. Siedzieli na nim, ściskali się, świętowali. Lało się piwo oraz łyż. Po obu stronach powiewały niemieckie flagi. Ręce, uzbrojone w młotki i majzle, kuły beton. Pierwsze płyty już wypchnięto, w ścianie pojawiało się coraz więcej dziur.

Poczwała ucisk w sercu. Jeszcze kilka dni temu nie wierzyła, że to wszystko może stać się prawdą, że coś takiego się wydarzy. Ale teraz nie miała już wątpliwości. Granica została otwarta. Nareszcie! Nareszcie runęły mury, dokładnie tak, jak to wyśpiewał Jacek Kaczmarski!

Odsunęła talerzyk z niedojedzoną kolacją, wzruszenie odebrało jej apetyt. Łyknęła tylko swoją porcję lekarstw, popijając je zimną herbatą ze szklanki w posrebrzonym koszyczku. Przez chwilę trzymała w palcach fiolkę z nitrogliceryną, wyjęła nawet korek i kłęb waty ze środka, i wytrząsnęła na dłoń miniaturową tabletkę. W końcu jednak wrzuciła ją z powrotem do szklanego flakonika. Owszem, wszystko to wzburzyło ją, ale przecież nie aż tak bardzo, żeby miała dostać zawału!

Wstała ciężko. Dawna nauczycielka wychowania fizycznego już od wielu lat nie mogła się pozbyć tuszy, która bardzo utrudniała jej życie. Upewniła się, że drzwi wejściowe

są zamknięte, po czym pochyliła się ze stęknieniem i odsunęła rząd książek na dolnym regale, pod telewizorem. W skrytce leżało zielone, tekturowe pudełko po butach.

Długo ważyła je w dłoniach, zanim wreszcie zdjęła pokrywkę i wyjęła ze środka niepozorny, szary zeszyt. Powoli otworzyła go, przerzuciła kolejne kartki. Patrzyła na nieczytelne rzędy liter. Doskonale pamiętała tych kilka niepokojnych nocy, gdy za oknem wyl wiatr, a ona, ze strachu nie mogąc spać, zapisywała kajet aż po ostatnią stronę. Jak trzęsły się jej ręce, kiedy gumą arabską wklejała między swoje wyznania dokumenty, które miały zaświadczyć o prawdzie. Tak mocno była wtedy przekonana, że trzeba tę prawdę przekazać dalej!

Kochany Maksymilianie!

Piszę do Ciebie, choć leżysz w swoim łóżeczku zaledwie kilka metrów ode mnie. Światło nocnej lampki sprawia, że na poduszce i Twoim czółtku odbija się cień siatki. Niby nic, biała sznurkowa siatka, a mnie dzisiaj ten cień przywołuje na myśl kraty więzienia i serce zaczyna bić jak oszalone...

Znała każde zapisane tam słowo. Ale słaby powojenny atrament wyblakł tak bardzo, że stał się prawie nieczytelny. Od wielu miesięcy śledziła ten proces zniszczenia, widziała, jak znikają litery, wyrazy, zdania i całe akapity. Jak jej historia odchodzi w niebyt.

„Może to znak? Może tak właśnie ma być?” – Zastanawiała się, kartkując zeszyt. „Może ta wiedza powinna pójść do grobu razem ze mną...?”

Odłożyła kajet na miejsce i zaczęła wyjmować z pudełka książki. Pod nimi leżał mały krzyżyk owinięty w kawałek sukna. Tylko tyle jej pozostało. Siedziała długą chwilę, gładząc opuszkami palców drewno, metal i szkło, z których był wykonany. Przed oczami miała scenę sprzed pół wieku, gdy w wigilijny wieczór pierwszy raz zobaczyła ten krucyfiks. Pokój tonął w ciemności, ale srebro okucia odbijało się od matowego blatu stołu i połyskiwało w świetle księżyca. Okno, wbrew okupacyjnym wymogom, było niezaciemnione.

Zanurzona we wspomnieniach odwiedzała stare kąty, przypominała sobie dawno niewidziane twarze. Nie spieczyła się. Wszystko to należało do rytuału. Już od wielu lat, od śmierci męża, wracała co jakiś czas do przemyślnie ukrytych pamiątek i zawsze po takiej sesji musiała zażywać silne leki nasercowe. Zastanawiała się potem, czemu tak igra z pamięcią, po co rozdrapuje rany... Jej życie ułożyło się przecież, potoczyło szczęśliwie. A przeszłości i tak nie można już zmienić!

Ale ta przeszłość ciągle jeszcze bolała. Jeden dzień, jedna niewyjaśniona tajemnica. W jaki sposób człowiek może tak po prostu zniknąć, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu?!

Mógł. W tych okolicznościach, w tamtym czasie – mógł. Już dawno straciła nadzieję, że uda się jej kiedyś wyjaśnić tę zagadkę. Ale dzisiaj coś się zmieniło. Ogarnęło ją pragnienie, żeby podjąć jeszcze jedną próbę. Pojawiła się przecież szansa, upadł mur! Droga za Zachód stała otworem...

Wstała i przespacerowała się po pokoju, przyciskając krzyżyk do piersi. Dawne emocje, jakieś przecucia, chęć odkrycia tajemnicy – odżyły w jej sercu. Ale równie silne były wątpliwości. Miała takie szczęśliwe życie! Nie chciała tego burzyć. A historia zawarta w zielonym pudełku wstrząsnęłaby posadami świata wielu bliskich jej ludzi.

Nawet nie zauważyła, kiedy się skończył *Dziennik Telewizyjny* i przebrzmiał dźwięk fanfar. Ocknęła się z zamyślenia. Włożyła wszystkie pamiątki na miejsce, ale tym razem nie upchnęła pudełka do skrytki pod telewizorem. Ktoś mógłby je znaleźć! Zaczęłyby sobie zadawać pytania, czemu te przedmioty były dla niej tak ważne, po co je ukryła. Zaczęłyby może i ją wypytywać. A ona nie była gotowa, aby o tym mówić.

Po cichu odemknęła zamki w drzwiach wejściowych i z pudełkiem pod pachą ruszyła po schodach na strych. Nawet nie zapalała światła w korytarzu. Znała tu każdą klepkę w podłodze, a nie chciała, by ktoś z domowników zauważył jej manewry.

– Jeszcze nie pora – przekonywała samą siebie, starając się nie szurać pantoflami. – Jeszcze potrzebuję czasu. A potem będzie, co Bóg da!



Tysiące ludzi oblegały mur. Siedzieli na nim, ściskali się, świętowali. Łało się piwo oraz łyż. Po obu stronach powiewały niemieckie flagi. Ręce, uzbrojone w młotki i majzle,

kuły beton. Pierwsze płyty już wypchnięto, w ścianie pojawiało się coraz więcej dziur.

Wiedział dokładnie, na co patrzy. To był symbol. Choć rewolucja zaczęła się zupełnie gdzie indziej, choć to inni ryzykowali głową, by ten mur mógł runąć. Ale co zrobić? W zwrotnych momentach historii ludzie potrzebują patosu, a tymczasem w kraju nad Wisłą zupełnie tego patosu zabrakło. Bo czy ikoną upadku znieprawidzonego systemu może być długopis albo stół?

Głos komentatora dudnił mu w uszach. Migawki mężczyły oczy, powodując ich łzawienie. Stary człowiek z wysiłkiem popchnął koła wózka inwalidzkiego, wymacał guzik i wyłączył telewizor. Pokój pogrążył się w mroku.

A więc symbol obalenia komunizmu będzie należał do Niemców! Mężczyzna wzruszył ramionami, zdziwiony, że tak mało go to obchodzi. Przecież zawsze tak było. Niemcy dostawali to, czego chcieli, czy im się to należało, czy nie. A jeśli nie dostawali, to brali sami. Kiedyś budziło to w nim emocje, było ważne, ważniejsze nawet niż ludzkie życie. Teraz nie czuł nic. Lata tęsknoty i cierpienie sprawiły, że zupełnie zobojętniał.

Tylko jedna rzecz nadal go poruszała. Zdarzenie sprzed wielu lat, ciągle żywe w jego pamięci. Dlatego zburzenie muru jednak nim wstrząsnęło, wyrwało ze zwykłego letargu. Chciał tam wrócić, odszukać ją. Długo czekał na ten moment. I teraz wszystko znowu stawało się możliwe!

Niespokojnie poruszył się w fotelu, wełniany pled zsunął mu się z kolan. Od okna ciągnęło zimnem i wilgocią. Deszcz wystukiwał marsza na blaszanym parapecie.

Czuł, że za chwilę przyjdą. Przychodzili coraz częściej, a on zawsze wiedział, kiedy się zbliżają. Przez pokój, mimo sprawnie działającego ogrzewania, wiało wtedy chłodem.

Stary człowiek na wózku inwalidzkim czekał...

poniedziałek, 20 sierpnia 1990

W czapeczce złożonej z gazety, pogwizdując radośnie, Staszek Mróz rozprowadzał wałkiem ostatnie warstwy śnieżnobiałej farby na idealnie równej ścianie. To była prawdziwa rozkosz, pracować takimi narzędziami i z użyciem takich materiałów!

Chociaż nigdy nie był sentymentalny, westchnął z głębi swej niemłodej już, ale jeszcze całkiem sprawnej piersi, zastygł na drabinie i przez chwilę z rozrzwieniem spoglądał za okno, na rozświetlone słońcem Błonia, po których biegały dzieci i psy, opalały się studenckie pary oraz przemykały matki z niemowlętami w wózkach.

– Szczęśliwe pokolenie! – mruknął, zanim, drobiazgowy i pedantyczny jak zawsze, powrócił do swej pracy. – Będą dorastać w wolnej Polsce!

Delikatnymi pociągnięciami wałka pokrył farbą ostatni kawałek ściany w rogu koło pieca, zszedł z drabiny i cofnął się o kilka kroków, by ocenić swoje dzieło. Nie ma co, różnica była kolosalna! Jeszcze trzy tygodnie temu ściany salonu Petrycych były szarobure, spękane i chropowate – po prostu czarna rozpacz. Obrazy, wypełniające każde wolne miejsce, trochę ratowały sprawę i przysłaniały całą

tę nędzę, ale przez długie lata gromadziły się pod nimi kurz oraz sadza, które Staszek musiał w pocie czoła pozmywać za pomocą szczotki ryżowej i szarego mydła. Zapuszczone było to wszystko przeokropnie! Aż dziw, że pani Isia – wdowa po doktorze Benedykcie Petrycym, jednym z najbardziej zasłużonych obywateli Krakowa – tyle lat w takim brudzie potrafiła wytrzymać!

Pokiwał głową, zbierając narzędzia. Cóż zrobić, czasy nie należały do najłatwiejszych. Pani Isia emerytury nie dostawała pewnie Bóg wie jakiej, a jej syn – Maksio – choć sam był już wziętym lekarzem i pracował w klinice od rana do wieczora, miał przecież na utrzymaniu czwórkę dzieci. Trzeba było to stadko odziać i wyżywić, a jeszcze do niedawna w sklepach stały na półkach tylko musztarda, ocet i denaturat. I miej tu, człowieku, rodzinę!

Staszek znowu westchnął, tym razem z ulgą. Pomyśleć, że zaledwie rok minął od chwili, gdy zlikwidowano kartki żywnościowe! Pomyśleć, że przez ten rok sklepy wypełniły się wszelkim towarem, że już nawet wódki kupić można tyle, ile się chce, i mówi się o tym, że zniesiony zostanie zakaz sprzedaży alkoholu przed godziną trzynastą! Wdzięczny Bogu z całego serca za tę odmianę losu – swojego i wszystkich wokół – Staszek Mróz z prawdziwą czułością ogarnął spojrzeniem dwa spore wiaderka z białą emulsją, popieścił wzrokiem niemieckie napisy na deklach i westchnął raz jeszcze, gdyż ocenił, że resztek zostanie może jeszcze na tyle, żeby odnowić własny duży pokój. Gdzie mu tam wprawdzie do salonu Petrycych, ale to też centralne miejsce w mieszkaniu, też już trochę przez lata

zarosło brudem, a człowiek też chciałby przecież żyć jak człowiek...

Aż się wzdrygnął, gdy drzwi otworzyły się znienacka i stanęła w nich gospodyni. Jadwiga Petrycy, choć z biegiem czasu przybyło jej znacznie tuszy, choć z byle powodu dostawała zadyszki, oblewała się potem i łapała za serce, nadal jeszcze potrafiła się poruszać cicho i zwinnie jak kot.

– O, jak pięknie! – Klasnęła w pulchne, upierścienione dłonie, z zachwytem rozglądając się po pomieszczeniu, z którego bił teraz blask porównywalny ze słonecznym światłem za oknem. – Przepięknie!

Staszek rzucił się na powitanie do jej rąk, zdzierając po drodze ze swej szpakowatej czupryny malarski kapelusik.

– Pani Isia! Co za niespodzianka! Przepięknie, prawda? Te farby... niemieckie... człowiek od razu inaczej się czuje, jak ma do dyspozycji coś takiego...! A głód...! – Ze wzruszenia głos mu się prawie załamał. – Co za czasy... Co za piękne czasy nastały...!

– Jestem pewna, że zrobiłbyś to tak samo pięknie, nawet gdybyś miał do dyspozycji tylko wapno – oświadczyła pani Isia, a oczy jej się śmiały. – Ty jesteś, Stasiu, prawdziwa złota rączka, ze świeczką przyszedłoby nam szukać drugiego takiego majstra.

Mróz poczuł jeszcze mocniejsze wzruszenie, w milczeniu pokręcił tylko głową i ukradkiem otarł łzę. Psiakość, na starość coraz częściej się rozklejał. Ale też co się dziwić – znał tę rodzinę od smarkatych lat! Doktor Petrycy, świętej pamięci, leczył go niezliczone razy z zapalenia spojówek

i anemii, a nawet – po kolejnej ropnej anginie – wyciął mu trzeci migdał. Pani Isia, panienska wtedy jeszcze, sąsiadka z kamienicy, częstowała go za okupacji krupnikiem i placakiem z fasoli, opatrywała mu porozbijane kolana i dawała na pocieszenie miętowe dropsy.

– Jeszcze dwa, trzy dni, żeby się trochę przewietrzyło, i będzie się można wprowadzać! Poustawiamy meble, powiesimy obrazki na dawnych miejscach i znać nie będzie, że się tu jakiś remont odbywał – zapewnił solennie wdowę po doktorze, która, rozglądając się z zachwytem po odnowionym salonie, z gracją przemieściła się tymczasem w stronę okna.

– Ale spokojnie, Stasiu, nic się nie dzieje – zapewniła go z właściwą sobie pogodą ducha. – Synowa przyjmie mnie na tych kilka nocy, pokój Gabrysi jest wolny, bo wyjechała na obóz harcerski. To się teraz nazywa ZHR... Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. – Wyrzała przez okno na zalane słońcem Błonia i znowu się rozpromieniła. – A ja po pobycie w sanatorium jestem jak nowo narodzona! Serce już mi nie dokucza i czuję, że mogłabym spędzić nie tylko kilka dni w pokoju Gabci, ale nawet pojechać z nią na ten obóz, pod namiot... Wiesz, że one tam, w środku lasu, same dziewczynki! muszą sobie sklecić łóżka polowe i wykopać... hi, hi, hi... latrynę?

Staszek z niedowierzaniem pokręcił głową. Coraz bardziej podziwiał tę kobietę. Mogłaby być rozczarowana, mogłaby się złościć, że nie zdołał skończyć roboty na czas, a ona tymczasem chichocze i opowiada anegdotki.

– Ale to bardzo dobrze, bardzo dobrze! – Pokiwała głową starsza pani. – Niech się uczą! Bo taką będziemy mieć Rzeczpospolitą, jakie jej młodzieży chowanie... Niech się uczą, nie wiadomo jeszcze, do czego im się to może kiedyś przydać... My też przeszliśmy swoje! Pamiętam czasy, gdy na Błoniach uprawiano ziemniaki... A potem Niemcy szkolili tu swoich żołnierzy przed wysłaniem na wschodni front... – Zamyśliła się, pokiwała głową i opuściła wzrok na parapet, na czas malowania starannie zabezpieczony gazetą.

Staszek Mróz pomyślał, że warto by ją zagadnąć o tę resztkę farby. Żeby nie brać tak po cichu, bez pytania, jak jakiś złodziej... W końcu to cudo kosztowało swoje, całkiem słono kosztowało, nie da się ukryć... Same te wiaderka, które po farbie zostaną – przepiękne, zieloniutkie – toż to dla każdego majstra istny skarb! Może jednak zaproponować, że tę farbę i resztkę gładzi od niej odkupi?

– Pani Isiu...? – zaczął niepewnie, ale urwał, gdy zauważył, że z gospodynią dzieje się coś dziwnego.

Jadwiga Petrycy obiema rękami mocno oparła się o parapet, pochyliła nisko głowę i dygotała na całym ciele, jakby miała atak śmiechu. Ale to nie był śmiech – kobieta wyprostowała się nagle i gwałtownymi ruchami jęła zdzierać gazety, którymi parapet był oklejony. Nie szło jej łatwo, Staszek bowiem zadał sobie sporo trudu, żeby nie było żadnej dziury i wszystko dobrze się trzymało.

– Pani Isiu, co się dzieje?! – zapytał zaniepokojony, gdy strzępy papieru zaczęły padać gęsto u jej stóp. Właścicielka mieszkania nie odpowiedziała, z jej piersi wydarł

się dziwny odgłos, ni to krzyk, ni szloch, kiedy wreszcie chwyciła w dłonie mocno potargany fragment „Dziennika Polskiego”, odklejony ze środkowej części parapetu. – Coś poplamilem?

Pytał, ale już zdawał sobie sprawę, że to nie o parapet i nie o staranność w malowaniu chodzi. To gazeta była przedmiotem jej zainteresowania. Strzęp „Dziennika”, który trzymała teraz przed oczami z całkowicie osłupiałym wyrazem twarzy.

Staszek zaprzestał indagacji i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Kobieta była blada jak kreda, oddychała ciężko półotwartymi, zsiniałymi ustami, a na jej czole perlił się pot.

– To ja może przyniosę wody – zaproponował wreszcie, gdy Jadwiga Petrycy z widocznym trudem oderwała jedną rękę od gazety i chwyciła się za serce, nie spuszczając jednak wzroku ze szpalty, której treść tak ją wzburzyła.

Staszek zrobił dwa szybkie kroki w stronę drzwi. Było już jednak za późno. Bez słowa uprzedzenia gospodyni wywróciła oczami i całym swoim ciężarem runęła do tyłu, na okryty starą prasą i tekturą przedwojenny parkiet. Strzęp „Dziennika Polskiego” wypadł jej z dłoni.

~

Sala intensywnej terapii, z jej charakterystycznym zapachem, ze wszystkimi migającymi diodami i miarowym szumem aparatów, nie była dla doktora Maksymiliana Petrycego niczym nowym, choć sam był endokrynologiem

i swój czas pracy spędzał w zupełnie innych gabinetach. Nie było też dla niego tajemnicą, że stan matki jest poważny, a rozległość zawału daje niewielkie szanse na to, by wyszła z tej sali żywa.

O tym, że Jadwiga serce ma słabe, powinna się oszczędzać i unikać wzruszeń, wiedział już od wielu lat. Kolega kardiolog, który prowadził panią Petrycy, nie ukrywał przed Maksymilianem, że przy obecnej kondycji jej naczyń wieńcowych każdy dzień należy traktować jak darowany. Gdy tylko doktor odebrał telefon z informacją, co się stało, jeszcze nawet przed krótką rozmową z lekarzem dyżurnym na intensywnej terapii zrozumiał, że zostało im niewiele wspólnego czasu.

Świadomość ta sprawiła, że wybiegł jak wariat ze swojej kliniki i teraz siedział przy jej łóżku, już od wielu godzin czekając z nadzieją, że matka odzyska przytomność. Była to beczynność u niego niezwykła, a co dziwniejsze, nawet sobie z niej nie zdawał sprawy. Ani jednej myśli nie poświęcił swej pracy, rodzinie czy działalności politycznej, którą rozpoczął już dawno, a ukoronował zwycięstwem w pierwszych wyborach do samorządu terytorialnego. Trzymał w obu rękach bezwładną dłoń kobiety, która dała mu życie, i zastanawiał się, jak może wyglądać świat bez niej. I choć inni – w pracy i w klubie radnych – uważali go często za wizjonera, teraz wyobraźnia zawodziła go na całej linii. Był jak dziecko – samotne i opuszczone w ponurej szpitalnej rzeczywistości.

Ciche kroki pielęgniarki za plecami wyrwały Petrycego z zamyślenia.

– Panie doktorze – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Ktoś czeka w korytarzu. Mówi, że jest z rodziny i że to bardzo pilne... Dotyczy stanu zdrowia pana matki.

– Podał nazwisko?

– Mróz. Chciałam go odesłać, ale bardzo nalegał...

Maksymilian odetchnął głęboko. Znał Staszka na tyle, by wiedzieć, że majster w takiej sytuacji nie zawracałby mu głowy remontem. To musiała być naprawdę ważna sprawa. Przez chwilę walczył ze sobą, niezdolny do wypuszczenia z rąk bezwładnej dłoni matki. Wiedział, jakie to istotne, by chory – nawet nieprzytomny – nie był sam.

Choć mama oczy miała zamknięte, a twarz nieruchomą, czuł, że duchem jest tuż obok, bardzo blisko. Nie chciał jej tak zostawiać.

– Niech pan idzie – szepnęła siostra. – Ja tu przy niej posiedzę i gdyby się coś działo, zaraz pana zawołam.

Powoli, z ociąganiem, Petrycy wstał z krzesła. Pielęgniarka zajęła jego miejsce i wyjęła rękę Jadwigi z uścisku syna.

– Już dobrze. Nie będzie sama. Niech pan idzie – powtórzyła.

~

Staszek Mróz, okropnie zgnębiony i wionący dość mocno alkoholem, stał w korytarzu i w obu rękach ścisnął kawałek jakiejś gazety. Oczy miał czerwone, nos również, a na palcach ślady białej farby. Na widok Maksymiliana łyzy same pociekły mu po policzkach.

– Jak ona...? – wychrypiął spod chirurgicznej maseczki, którą miał na twarzy. – Jak ona się czuje?

– Na razie trudno coś powiedzieć. – Również Petrycemu wypowiedanie słów przez ściśnięte gardło przychodziło niełatwo. Był jednak wstrząśnięty obrazem nędzy i rozpaczy, jaki prezentował majster. Że też pielęgniarka zdecydowała się wpuścić go w tym stanie na intensywną terapię! – Nie odzyskała jeszcze przytomności. Trzeba czekać i mieć nadzieję.

– Nie wiem, psiakość... Nie wiem naprawdę, jak to się stało... – bełkotał Staszek, przestępując z nogi na nogę. Ubrany był w biały fartuch opatrzonej czerwoną pieczętką. – Przyszła, rozmawiała ze mną, była zachwycona. Wcale się nie rozłościła, że mi się trochę przeciągnęło, wcale! A potem zobaczyła tę gazetę... – Wyciągnął przed siebie strzęp „Dziennika Polskiego” i na siłę wcisnął go Petrycemu w dłoń. – To zobaczyła, zerwała z parapetu i... i...

Maksymilian bez słowa wpatrywał się w zadrukowaną stronę, nie rozumiejąc znaczenia liter, które skakały mu przed oczami. Gazeta była podarta i poplamiona, w miejscu tytułu widniało tylko jedno słowo: *Zakazana...* Za to podtytuł był prawie całkiem czytelny: *Czy okupacyjna historia znajdzie swoje szczęśliwe...* – pytał autor artykułu, podpisujący się pseudonimem LIP.

– Myślę, że to właśnie zrobiło na niej takie wrażenie – powiedział nagle Staszek, głośno i wyraźnie, przerywając ciszę, która aż dzwoniła w szpitalnym korytarzu. Brudnym palcem postukał w papier. – Przeczytała to i serce jej nie wytrzymało!

Maksymilian oderwał wzrok od tańczących liter.

– Słuchaj – powiedział, ściskając chude ramię majstra. Z trudem się powstrzymał, by go nie pogłaskać po szpakowatej, zmartwionej i zawianej głowie. – Nie obwiniaj się. Cokolwiek było przyczyną... jej serce już od lat odmawiało posłuszeństwa. Nawet Działkowiak¹ nie mógł jej pomóc, choć wiesz, że on czyni cuda. To się musiało zdarzyć, prędzej czy później...

Złożył strzęp gazety na czworo i schował do kieszeni marynarki. Chciał już wrócić do matki. Te chwile – być może ostatnie – były bezcenne, nie powinien ich tracić.

– Ale ten artykuł... – zaprotestował Staszek, sięgając odruchowo ręką do jego kieszeni, jakby znowu chciał z niej wyciągnąć wymęczony kawałek papieru. – Ja wiem, o czym tam piszą...!

– Stasiu, proszę, nie teraz – przerwał mu Petrycy, cofając się o krok. – Naprawdę nie teraz.

Nad drzwiami do sali, w której leżała jego matka, zaczęła nagle migać czerwona lampka. Nie zwracając już uwagi na swojego rozmówcę, Petrycy rzucił się w tę stronę. Staszek Mróz pospieszył za nim, lecz przy wejściu powstrzymał go surowy okrzyk dyżurnego lekarza, nadbiegającego z przeciwka. Dwóch medyków weszło do pomieszczenia, majster zaś zatrzymał się przed drzwiami, a potem chlipnął i z opuszczoną głową, powłócząc nogami, ruszył korytarzem do wyjścia.

¹ Prof. Antoni Działkowiak – wybitny kardiochirurg, związany m.in. z Collegium Medicum UJ oraz ze Szpitalem im. Jana Pawła II. (Wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

Jedno spojrzenie wystarczyło, by Maksymilian – spięty do granic możliwości i gotów już na najgorsze – odetchnął z ulgą.

– Panie doktorze! – Pielęgniarka, którą pozostawił na krześle przy matce, teraz stała obok łóżka, niecierpliwie spoglądając w stronę drzwi, ale nadal ścisnęła dłoń chorej.

– Panie doktorze, szybko! Pani Jadwiga się obudziła!



– Pierścionek...

To było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała Jadwiga po odzyskaniu przytomności. Cicho, ledwie słyszalnie, tak że Maksymilian musiał się nachylić, by zrozumieć, co mówi. Jednocześnie poruszyła lewą ręką. Na serdecznym palcu widniały tam dwa złote krążki, które nosiła – jeden nad drugim – przez całe życie. Skromna obrączka ślubna oraz bardzo już stary i wytarty pierścionek z brylantem.

– Pierścionek? Co mam, mam, zrobić z pierścionkiem?

Z początku pomyślał, że może matka boi się, że ktoś ją w szpitalu okradnie. Nie były to rzadkie przypadki, niestety. Jako lekarz miał tego pełną świadomość. Ale przecież znał swoją rodzicielkę na tyle, by wiedzieć, że sprawy materialne nie były dla niej aż tak istotne. Na pewno nie byłaby to jej pierwsza myśl po odzyskaniu przytomności!

Jadwiga przez chwilę poruszała wargami i próbowała mu odpowiedzieć, zanim wreszcie udało się jej wydobyć z siebie głos.

– Zachowaj. Pamiątka...

Maksymilian poczuł gorącą falę, napływającą pod powieki.

– Mamo... Nie możesz jeszcze odejść...!

Usta znowu jej drgnęły i ułożyły się w grymas, który był – jak się Petrycy zorientował – uśmiechem. Ten uśmiech mówił: „Co ty możesz o tym wiedzieć?”. Starsza pani oddychała płytko, lecz spokojnie i emanowała zwykłą pogodą ducha. Akceptowała wszystko, co się miało zdarzyć, ale było widać, że jeszcze coś leży jej na sercu. Coś ważnego musiała zrobić – bądź powiedzieć – i dlatego czyniła ten ostatni wysiłek. W jej oczach widać było determinację. Patrzyła na niego zupełnie przytomnie, całkowicie świadoma tego, co chce osiągnąć. Ale słowa wypowiadała z trudem, gdyż ciało już odmawiało posłuszeństwa. Jeszcze raz uniosła nieznacznie lewą dłoń nad szpitalnym prześcieradłem.

– Weź go!

Petrycy bez słowa ściągnął jej z palca skromny pierścionek i spojrzął w oczy.

– A obrączka?

Tylko przecząco pokręciła głową. Ją chciała zachować. O dwóch innych pierścieniach, dużo bardziej wartościowych, które miała na palcach prawej ręki, zdawała się zupełnie nie pamiętać.

– Co mam zrobić z tym pierścionkiem? – zapytał przez łzy. Nigdy nie sądził, że jest to dla niej aż tak ważny przedmiot, że właśnie wokół niego toczyć się będzie ich ostatnia rozmowa.

– Twój ojciec... – wyszeptała. – Pamiątka...

Maksymilian tylko skinął głową. Zacisnął w dłoni chłodny kawałek metalu ze szlachetnym kamieniem. Dla

niego będzie to pamiątka głównie po matce. Ani razu nie widział jej dłoni bez tego pierścionka i bez obrączki. Były po prostu jak część jej osoby.

– Nie zdążyłam... – Spod powieki chorej wymknęła się łza, przez chwilę balansowała w kąciku oka, po czym, meandrując w fałdach i zmarszczkach jej skóry, spłynęła w gęstwinę całkiem białych włosów. – Poszukaj w moich rzeczach... zielonego pudełka... wszystko zapisałam...

– Tak, mammo? – zdziwił się nieco, gdyż był jej jedynym dzieckiem i kwestie dziedziczenia nie powinny stanowić problemu. Jadwiga z widocznym trudem nabrała powietrza i zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek.

– Pamiętaj o pudełku – powiedziała z naciskiem. – Znajdź je koniecznie!

Zamilkła na długą chwilę i przymknęła powieki, odpoczywała. Wreszcie, gdy doktor Petrycy pomyślał już, że zasnęła, odezwała się znowu.

– Chciałabym zobaczyć Marysię... i dzieci...

Żona Maksymiliana oraz dwoje starszych wnuków, którzy akurat wrócili z wakacji, pojawili się w szpitalu w pół godziny. Jadwiga poczekała na nich spokojnie, uśmiechnęła się do każdego, ale nie miała już siły, by coś powiedzieć. Maksymilian też siedział bez słowa, a ilekroć spojrzął na monitor z zapisem pracy jej serca, gardło ścisnął mu suchy szloch.

Pozostał na oddziale intensywnej terapii przez całą noc. Po pożegnaniu synowej i wnuków Jadwiga zapadła w sen. Pielęgniarki regularnie zaglądały do pokoju, aparatura szumiała i pikała miarowo, doktor ścisnął dłoń matki

i bezgłośnie szeptał do niej słowa otuchy. Dobrze po północy, znużony wielogodzinnym czuwaniem, zdrzemnął się na swoim krześle, z czołem wspartym o prześcieradło. Gdy się ocknął, obok łóżka stała siostra i zastanawiała się właśnie, jak mu to powiedzieć.

Jadwiga odeszła chwilę wcześniej, piętnaście po piątej rano.

wtorek, 25 grudnia 1990

Kwestia mieszkania po babci wypląnęła w samo Boże Narodzenie. Pierwsze święta, które Maksymilian musiał spędzić bez mamy. Może dlatego zareagował tak emocjonalnie i potem tego żałował.

– Ale właściwie dlaczego nie chcesz jej pozwolić? – zapytała Marysia, gdy późnym popołudniem zostali w domu sami.

Dzieci rozeszły się w różne strony – młodszy do przyjaciół, a starsi na Rynek oraz do Beczki, duszpasterstwa akademickiego u dominikanów – oni zaś usiedli w odnowionym salonie na dole, który bez Jadwigi sprawiał wrażenie martwego, pozbawionego duszy, niemal muzealnego wnętrza.

– Za młoda jest! – warknął Petrycy i od razu zrobiło mu się wstyd. Przygarnął żonę i pocałował w policzek.

– Nie taka znów młoda... Przypomnij sobie, co my robiliśmy, jak mieliśmy dwadzieścia jeden lat... – Uśmiechnęła się do niego filuternie, on zaś pokręcił tylko głową, nie mogąc powstrzymać głośnego śmiechu.

Owoce tego, co wówczas robili, był Jaś, ich najstarszy syn. Ania była druga w kolejności. Przyjęli te nieplanowane dzieci z radością i zupełną beztrąską, jakże dać może tylko młodość, brak życiowego doświadczenia oraz niezachwiana wiara we wsparcie i pomoc rodziny. Nie zawiedli się nigdy. W pierwszym okresie, pieluch i klocków, Jaś i Ania wychowywani byli bardziej przez dziadków z obu stron niż przez rodziców, zajętych kończeniem studiów i kolejnymi etapami awansu zawodowego. Niezliczone noce, które oni poświęcali na wertowanie akt, kodeksów, atlasów anatomii i podręczników oraz dyżury w sądzie i szpitalu, dzieci spędzały w przepastnych i zawsze gościnnych łóżkach swoich babć.

Prawdziwego rodzicielstwa Maria i Maksymilian posmakowali dopiero potem, gdy po dłuższej przerwie pojawiła się na świecie następna dwójka dzieci, Gabrysia i Franek. Willę Petrycych przy alei Puszkina² przebudowano tak, by na parterze pozostawić starszym państwu niewielkie mieszkanie z pięknym salonem, resztę zaś domu, w tym całe piętro, zajęła rozrastająca się młoda rodzina. Lata miały, maluchy rosły, dziadkowie – jedno po drugim – zaczęli odchodzić, upadł złowrogi system polityczny i nagle się okazało, że minęła cała epoka. Ani Okrągły Stół i zdobycie mandatu do Rady Miasta Krakowa z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, ani śmierć Jadwigi nie uzmysłowiły tego Maksymilianowi bardziej niż dzisiejsza rozmowa z dorosłą już córką.

² Wcześniej i później – aleja Focha.

Ania postanowiła właśnie, że od nowego roku wyprowadzi się od rodziców. Aby im złagodzić ten szok, zaproponowała, że może zająć mieszkanie po babci.

Petrycy, przed chwilą zupełnie rozbrojony wywołanym przez Marysię wspomnieniem własnej młodości, zjeżył się znowu, gdy tylko wrócił myślą do pomysłu córki.

– Dlatego właśnie się nie zgadzam! – odpowiedział srogo. – Myślisz, że nie wiem, skąd ta nagła decyzja?

– Myślę, że wiesz.

– Nie podoba mi się ten typek. A poza tym chcę ją chronić przed tym, w co my sami się wpakowaliśmy... – Urwał, gdyż żona obdarzyła go nagle bardzo poważnym, urażonym spojrzeniem.

– No co? Sama przyznasz, że to było nieodpowiedzialne! Gdyby nie rodzice... A ja nie zamierzam jeszcze niańczyć wnuków!

Zdawał sobie sprawę, że brnie po grząskim gruncie, ale jakoś nie potrafił się zatrzymać. Marysia odsunęła się od niego i wstała.

– I co, żałujesz?! Zmieniłbyś to, gdybyś mógł cofnąć czas? – zapytała z pretensją, podchodząc do okna.

Ruszył za nią, jak pociągnięty magnesem.

– Dobrze wiesz, że nie... – wyszeptał jej do ucha, przytulając się i obejmując ciasno zgrabną jeszcze, po tylu latach i po czwórce dzieci, kibić swojej żony. – Ty jesteś najpiękniejszym darem, jaki otrzymałem od życia... Nie zmieniłbym tego nigdy! Ale ten amant Ani... Z tym kolczykiem...! No nie, nie, ja po prostu nie mogę się na to zgodzić!

– Ale ona nic nie wspomniała, że chcą zamieszkać razem...

– To po co jej niby osobne mieszkanie?!

– Może chce poczuć niezależność...

– Kochanie, niezależność to ona poczuje, jak zarobi pierwsze pieniądze.

– Kochanie, ani ci się śniło o zarabianiu, jak mnie trambantem ojca odbierałeś z porodówki...

– To były inne czasy! Były stypendia, były sposoby.

– Lepsze czasy?

– Nie lepsze, broń Boże! Po prostu inne.

– Myślisz, że teraz będzie miała mniej możliwości?

– No nie, skąd! Właśnie nad tym pracujemy, o to walczymy, żeby tych możliwości, szczególnie dla młodych, było więcej! – Nawet się nie zorientował, kiedy wpadł w swój wizjonerski ton, którego używał na związkowych zebraniach i na mównicy w radzie miejskiej.

– Więc dlaczego nie chcesz jej pozwolić spróbować?!

Popatrzył z bliska na żonę i pokiwał głową. Była niemożliwa! No, ale przecież wiedział, z kim się wiąże. Prawnik pozostanie prawnikiem, nawet w domowym zaciszu!

Następnego dnia Anna Petrycy – po poważnej rozmowie z rodzicami na temat zaufania, wolności i odpowiedzialności – rozpoczęła przygotowania do planowanej przeprowadzki.

wtorek, 1 stycznia 1991

– Tatusiu, popatrz, co znalazłam!

Maksymilian z irytacją otworzył oczy. Coraz częściej mu się zdarzały popołudniowe napady senności, szczególnie po obfitym świątecznym obiedzie. Ponieważ wstydił się do tego przyznać, traktując ową słabość jako jedną z pierwszych oznak starości, zaszywał się w wyściełanym fotelu obłożony fachową literaturą i – markując jej pilne studiowanie – ucinął sobie potajemną drzemkę. Najczęściej budziło go z niej własne głośne chrapanie bądź – jak teraz – któreś z dzieci, mające do niego jakiś interes. Żona od pewnego czasu przestała nalegać, by towarzyszył jej na poobiednich spacerach z psem, i z pełną dyskrecją pozostawiała go na dwie godziny samemu sobie.

– Popatrz, co znalazłam w rzeczach babci! – Tego dnia, ledwie zdążył przymknąć powieki, do pokoju wtargnęła Ania.

Od kiedy zgodził się na jej przeprowadzkę, wydawało się, że jest jej bez przerwy do czegoś potrzebny. Jak nożem uciął skończył się etap pyskowania i nieustannej walki. Teraz uzgadniała z ojcem najdrobniejsze szczegóły urządzenia swojego nowego lokum, co było dla niego niemal równie męczące jak poprzednie utarczki. Z cichym zadowoleniem przyjął fakt, że postanowiła zachować większość mebli, książek i bibelotów pozostałych po Jadwidze. Zdumieniem napełniła go natomiast informacja, że wnuczka zamierza też – po odpowiednich przeróbkach – nosić jej ubrania.

- To jest *vintage* – pouczyła go z miną pełną wyższości.
- Taki styl, tato. Nie znasz się na tym.

Wzruszył tylko ramionami i zdusił uwagę, że sam był kiedyś młody i niektóre style wcale nie są mu obce. Ania bardzo szybko rozbroiła go, stwierdzając mimochodem, że babcia miała dobry gust. A potem wykorzystwała bezwstydnie do pomocy w przenoszeniu starych kufrów ze strychu do mieszkania i z powrotem oraz do organizacji sylwestrowej imprezy w pokojach Jadwigi. Jeszcze dziś, w Nowy Rok, Petrycy czuł w mięśniach tamten wysiłek.

Tym razem córka z hukiem postawiła na stole duże, zielone pudło. Na ten widok Maksymilian rozbudził się w jednej chwili.

- Gdzie to znalazłaś?! – zawołał, zrywając się na równe nogi. Najnowszy numer „Przeglądu Lekarskiego” spadł mu z kolan na podłogę.

- W szafie na strychu... – odpowiedziała, unosząc ze zdumieniem brwi. Gwałtowna reakcja ojca zaskoczyła ją trochę. – Tam, gdzie stały pudełka ze starymi butami.

Drżącymi rękami doktor Petrycy ściągnął pokrywkę. Po śmierci mamy trzy doby poświęcił na przeczucanie zawartości jej biurka, komód, szaf i regałów w poszukiwaniu zielonego pudełka. I go nie znalazł. Ale też do głowy mu nie przyszło, żeby szukać między starymi butami.

- Nic tam nie ma szczególnego. – Ania, zdziwiona, obserwowwała jego wzburzenie. – Właśnie nie wiem, co z tym zrobić. Jakieś stare niemieckie książki, drukowane gotykiem, nie do odczytania. Można by zanieść do antykwariatu, może ktoś to kupi.

Maksymilian wyciągnął pierwszy z brzegu, zakurzony tomik. *Die Leiden des jungen Werther*³ Goethego, z ilustracjami Ottomara Starkego, wydany w roku 1922 przez oficynę Knorr & Hirth w Monachium. Otworzył go i zamarł, wpatrzony w pożółkły papier. Na pierwszej stronie widniał autograf, wykaligrafowany staromodnym charakterem pisma, atramentem, który z upływem czasu stracił już swój pierwotny kolor i był po prostu szarobury. *Max Bayer* – głosiły litery z zawijasami.

Na pewno nazwisko to nie zrobiłoby na Petrycym żadnego wrażenia – kojarzyło mu się bowiem tylko i wyłącznie ze świetną niemiecką aspiryną – gdyby nie fakt, że już wcześniej je widział. Tylko jeden raz, przelotnie, ale doskonale zapamiętał, gdzie i kiedy. W szpitalnym korytarzu, w dniu, gdy Jadwiga dostała zawału. W gazecie, którą pijany Staszek Mróz przyniósł mu na intensywną terapię.



Beżowa marynarka, którą miał wtedy na sobie, wisiała spokojnie w szafie. Od tamtego sierpniowego dnia już jej nie wkładał – najpierw nastał czas żałoby, a potem zima. Przez chwilę serce uderzyło mu mocniej na myśl, że Marysia mogła oddać ją do czyszczenia wraz z innymi garniturami – ale nie! Wsadził rękę do kieszeni i od razu trafił na gruby, kilkakrotnie złożony kawałek papieru. Strzęp gazety był tam jeszcze, na szczęście, i czekał, aż przyjdzie pora na wyjaśnienie tajemnicy, którą skrywał. No i przyszła.

³ *Cierpienia młodego Wertera*.

Petrycy odetchnął głęboko. Czuł, że pocą mu się dłonie. Razem z zielonym pudełkiem i podartą stroną z „Dziennika Polskiego” zaszył się w gabinecie i zamknął drzwi na klucz. Nigdy tego nie robił, teraz jednak chciał mieć absolutny spokój. Jakieś niejasne podejrzenie, dziwna myśl, która jeszcze nie przybrała konkretnego kształtu – ale już stawiała pod znakiem zapytania całe jego dotychczasowe życie, całą jego tożsamość – tłukła mu się po czaszce i nie dawała spokoju. Musiał to wszystko uporządkować, poukładać. Musiał się jak najwięcej dowiedzieć.

Ułożył na biurku gazetę oraz – jedną po drugiej – wszystkie książki wyciągnięte z pudełka. Nie było ich wiele. Stara Biblia i kilka zakurzonych dzieł niemieckich klasyków. Wszystkie należały do Maxa Bayera i nosiły jego podpis.

Na dnie pudełka czekała go jednak jeszcze jedna niespodzianka, a raczej dwie. Pierwszą był owinięty w kawałek sukna niewielki krzyż. Ozdobny, wykonany pieczołowicie z drewna i metalu, z przeszklonym medalionem wokół głowy Zbawiciela. Na skrawku aksamitu widniały pod szkłem karteczki z czterema imionami: Johann, Sophie, Max, Klara. Choć doktor długą chwilę oglądał krzyżyk, zastanawiając się, czy jest sposób, by dostać się do środka aureoli i wyjąć z niej karteczki – kryjące być może dalsze tajemnice – jego próby nie powiodły się i w końcu musiał się poddać. Rzecz była zlutowana na stałe.

Drugą niespodziankę stanowił zeszyt w tekturowej oprawie, zapełniony szczerze pismem Jadwigi, z powklejkanymi gdzieniegdzie dokumentami: jakimiś notatkami,

listami, kwitami, a nawet czymś, co wyglądało jak więzienne grypsy. Maksymilian bez wahania zagłębiłby się w lekturze tych zapisków, gdyby nie to, że atrament, którego użyła jego matka – chyba wyjątkowo podłej jakości – zbladł przez lata i prawie nic nie dało się już odczytać. Fakt, że pisała w grubych liniach po obu stronach kartki, sprawiał, że odcyfrowanie liter stawało się niemożliwe nawet pod światło. Pojedyncze słowa, a czasem nawet fragmenty zdań, które zachowały jeszcze jaką taką czytelność, nie mówiły Petrycemu zupełnie nic. Zorientował się tylko, że treść notatek dotyczy czasu wojny i że imię Max – szczególnie pod koniec zeszytu – pojawia się w nich dość często.

Chcąc nie chcąc, sięgnął więc do starej gazety. Choć podarta i poplamiona farbą, dawała się przeczytać. Petrycy zagłębił się po raz drugi w zachowany fragment artykułu, tym razem z dużo większą uwagą i przejęciem niż kilka miesięcy wcześniej, w szpitalu.

Zakazana...

Czy okupacyjna historia znajdzie swoje szczęśliwe...

Klara Weiler ma lat sześćdziesiąt cztery i jest w Polsce po raz pierwszy. Nie wie, czy zdecydowałaby się kiedykolwiek na przyjazd do Krakowa, gdyby nie prośba jej brata.

*– To jego ostatnie życzenie – mówi, nie kryjąc wzruszenia.
– Można tak powiedzieć, gdyż lekarze nie dają mu zbyt wiele czasu... Sam nie był w stanie tu przyjechać. Nie mogłam mu odmówić.*

Ta elegancka i niezwykle kulturalna urzędniczka bankowa z Monachium przybyła do nadwiślańskiego grodu, by odnaleźć kobietę, z którą w czasie wojny połączyły jej brata niezwykle losy. Ma ze sobą dwa stare zdjęcia, zapisany adres przy ulicy Długiej, pod którym przez pięć lat mieszkał w Krakowie jej brat, oraz garść informacji, mogących naprowadzić ją na jakiś ślad. Na pewno jej zadanie nie będzie łatwe, w kamienicy nie mieszka już bowiem nikt, kto by pamiętał tak odległe w czasie zdarzenia. Klara Weiler liczy jednak, że ktoś z Czytelników naszej gazety przypomni sobie tę historię oraz jej bohaterów. Ma nadzieję, że żyje jeszcze Jaga, której poszukuje schorowany człowiek, przykuty do łóżka w monachijskim szpitalu.

Zapewne na ulicy Jaga i Max już by się nie rozpoznali – w końcu od tamtych wydarzeń minęło pół wieku. Max Bayer zajmował się projektowaniem i budową linii kolejowych. Jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy dał się poznać w Niemczech jako wybitny specjalista w swojej dziedzinie. Jak twierdzi Klara Weiler, jej brat nigdy nie identyfikował się z reżimem, nie należał do faszystowskiej partii NSDAP, a w dodatku z powodu przebytej w dzieciństwie choroby Heinego-Medina był dotknięty trwałym kalectwem. Nie zmienia to jednak faktu, że do Krakowa przyjechał jako najeźdźca i tak go z początku postrzegala Jaga – młoda jeszcze, ale już bardzo ceniona nauczycielka. Z chwilą zamknięcia na rozkaz okupanta wszystkich szkół średnich w Krakowie, jak wielu innych Polaków, straciła źródło utrzymania. By przeżyć, wraz z rodziną zmuszona była oddać pod wynajem pokój w swoim mieszkaniu. Max – przekonany, że w polskiej części

Krakowa żyć mu się będzie lepiej i bezpieczniej niż w niemieckiej dzielnicy, korzystając z pretekstu, że chce mieszkać bliżej siedziby Generalnej Dyrekcji Kolei Wschodniej oraz Dworca Głównego – na jej ogłoszenie odpowiedział...

Zacznijmy jednak od początku.

Max Bayer – tak brzmi imię i nazwisko brata pani Weiler – urodził się w roku 1905, a więc w czasie, gdy w wielu miejscach świata rozkwitły już nacjonalizmy, ale o narodowym socjalizmie jeszcze się nikomu nie śniło, w małej miejscowości Altötting w Bawarii...

Tu artykuł na pierwszej stronie się urywał, a czytelnika odsyłano na inną kolumnę, we wnętrzu gazety. Tej Petrycy niestety już nie miał. W pierwszym odruchu chciał się zerwać i pognać do czytelni czasopism w Pałacu Larischa na Brackiej, zaraz jednak uświadomił sobie, że jest przecież święto. Z frustracją popatrzył na zapiski matki, wyblakłe i nieczytelne. A potem, w nagłym olśnieniu, przypomniał sobie słowa Staszka Mroza wypowiedziane w szpitalnym korytarzu, na sekundę przed tym, jak włączył się alarm w pokoju Jadwigi:

– Ja wiem, o czym tam piszą...

W jednej chwili Petrycy zerwał się na równe nogi. Ostrożnie schował wszystkie książki, krzyż i pamiętnik do zielonego pudełka, zamknął je starannie i umieścił na jednym ze swoich regałów. Fragment z gazety z szacunkiem wsunął do foliowej koszulki, zamknął w tekturowej teczce i – łapiąc w przelocie płaszcz w przedpokoju – oznajmił domownikom, że wychodzi. Liczył na to, że w Nowy

Rok, nawet zjawiając się bez zapowiedzi, zastanie Staszka w domu.



Na piąte piętro przypominającego twierdzę bloku na osiedlu Stalowym w Nowej Hucie Petrycy wbiegł, przeskakując po dwa schody. Po kilku niecierpliwych dzwonekch, gdy był już gotów załomotać pięścią, drzwi otworzyła mu żona Staszka. Na widok zdyszanego doktora zrobiła wielkie oczy, zagarniając ręką połę szlafroka. Petrycy momentalnie przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania, poczerwieniał jeszcze mocniej i – jękając się z powodu zadyszki oraz zakłopotania – przeprosił za najście. Nim zdążył się wysławić, z głębi mieszkania, pomiędzy strzępów kolorowych girland oraz baloników zawieszonych u sufitu, nadciągnął sam majster, w rozchełstanej koszuli i dresowych portkach.

– Maksiu! – powiedział takim tonem, jakby byli od dawna umówieni i właśnie na niego czekał. W rzeczy samej, od kilku miesięcy spodziewał się tej wizyty. – Wejdźże, wejdź do pokoju, a ty, kobieto, zostaw nas samych!

Żona rzuciła mu spojrzenie pełne urazy, ale odwróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni. Sądząc ze stosów naczyń i butelek piętrzących się za drzwiami, musiano tu ubiegłej nocy hucznie balować. Duży pokój też nosił ślady powitania Nowego Roku, wonie bigosu i alkoholu mieszały się z zapachem żywego świerka, ustawionego w kącie. Staszek otworzył lufcik, usadził gościa na wersalce, po czym wy-

ciągnął z barku półlitrówkę z oskrobaną etykietą oraz dwa kieliszki.

– Szara miętówka – oznajmił uroczyście, stawiając ją na stole. – Sam robiłem. Na wyjątkowe okazje.

Doktor w pierwszej chwili chciał podziękować, zre-flektował się jednak, że urazi tym gospodarza. Skoszto-wał więc – i był potem wdzięczny losowi za to znieczu-lenie, które pomogło mu ze spokojem przyjąć wszystko, co Staszek miał do powiedzenia. Nim skończyli rozmowę, butelka była prawie pusta.

– Ja znałem tego Niemca. Pamiętam go doskonale z cza-sów wojny – zaczął majster zaraz po pierwszym łyku na-lewki. – Nazwisko mi tylko, psiakość, wyleciało z głowy, ale teraz sobie przypominam. Max Bayer, tak jest. Max Bayer.

Petrycy upił łyk trunku w szarozielonym kolorze spranego moro. Nie był za słodki, z lekką nutą cytryny. Pomyślał, że można by wziąć od Staszka przepis na tę miętówkę.

– Zjawił się u nas w kamienicy na początku okupa-cji... Jakoś zimą, mogło to być w styczniu, może w lutym... A zima była tego roku wyjątkowo mroźna, wyjątkowo! I długa...

Staszek spojrzął za okno, za którym zapadał wczesny zmierzch. Z nieba padały rzadkie, mokre płatki śniegu.

– Siedem lat wtedy miałem, smarkacz taki, ale umiałem patrzeć i słuchać. Wiedziałem, co się wokół dzieje. I wie-działem, bo ludzie w kamienicy otwarcie o tym mówili, że ten Niemiec to za panią Isią, panienką wtedy jeszcze, łązi. Wpadła mu w oko, ani chybi, ale szans to on raczej

u niej nie miał, bo po pierwsze, panienska Jadwisia zawsze patriotycznie chowana, nawet by na takiego hitlerowca nie spojrziała, a po drugie, nawet jakby spojrziała, to z tego Maxa Bayera była niezła pokraka!

Doktor tylko pytająco uniósł w górę brwi.

– Nie był jakoś szczególnie paskudny na twarzy, co to, to nie! – sprostował zaraz Staszek. – Przeciwnie, taki typowy Germanin, jak to oni lubili, blondyn, oczy niebieskie. Ale od pasa w dół...! Pewnie dlatego go do wojska nie wzięli, przyjechał tu jako cywil, pracował w jakimś urzędzie, tory kolejowe zakładał czy coś takiego. My, jak to dzieci, przedrzeźnialiśmy go na podwórku, „kuternoga” za nim wołaliśmy, a on, jak to Niemiec, słowa nie rozumiał. Ale nie bił, jak inni, nie prześladował, dawał nam za to cukierki!

– Znaczy, co mu było, dokładnie, od pasa w dół?

– Coś tam miał z kręgosłupem, nie potrafił się normalnie poruszać – wyjaśnił Staszek. – Zawsze chodził z laską, nogi miał słabe i cały się przy każdym kroku tak śmiesznie kolebał...

Majster wstał z miejsca, odstawił kieliszek i zaprezentował Petrycemu, w jaki sposób poruszał się Bayer.

– Po tylu latach, a jeszcze takie rzeczy pamiętam! – rozrzewnił się, siadając z powrotem. – Te cukierki to były miętowe i ślazowe, na miodzie, pychota! Zresztą, mnie w czasie wojny to nawet marmolada z buraków na czarnym chlebie smakowała jak najlepsze delicje...

– I co dalej? Co się stało z tym Bayerem? – ponaglił go Maksymilian. Jakoś nie miał odwagi zapytać wprost o swoją matkę.

– Ano, przemieszkał tam u nas przez całą okupację – pokiwał głową Mróz. – W czterdziestym czwartym to już Niemcy byli mocno zestrachani, Sowietci prali im tyłki na wschodzie, zaczęli więc ewakuację ludności cywilnej i przedsiębiorstw. I to było dziwne, że firma pana Bayera, Gedob⁴ ją nazywali, zwinęła się i powróciła do Reichu, skąd przyszła, a pan Bayer został. Tak, to było najdziwniejsze. Do dziś pamiętam, jak stał nocą w sieni na warcie, bo to były niespokojne czasy, napady zdarzały się często i gęsto...

Staszek przerwał, przesunął dłonią po oczach, które nagle zrobiły się wilgotne. Głos mu wyraźnie zadrżał.

– Psiakość, to były niebezpieczne lata...!

Zapatrzył się gdzieś w głąb swoich wspomnień i umilkł. Maksymilian przez chwilę siedział bez ruchu, w końcu, zniecierpliwiony, odstawił kieliszek na stół. Sprężyny starej wersalki jęknęły.

– O czym my to? – Majster ocknął się z zamyślenia. Przez moment błądził wzrokiem po pokoju, potem sięgnął po butelkę i znów napełnił kieliszki. – A tak, o wojnie przecież.

Przejechał dłonią po powiekach, łyknął z kieliszka.

– Wiesz, mówię o tym, bo mój ojciec przez lata był stróżem w tej kamienicy. W drugim roku okupacji jacyś bandyci dostali się w nocy do środka i zamordowali go... Do dziś to pamiętam... Znaleźli tatę rano w kałuży krwi, był już całkiem sztywny...

~

⁴ Generaldirektion der Ostbahn – Generalna Dyrekcja Kolei Wschodniej, istniejąca w latach 1939–1945.

Minął pierwszy dzień nowego roku. Już nawet zdążył zapomnieć którego, choć telewizja i pielęgniarki mówiły o tym na okrągło. Pamięć szwankowała mu coraz bardziej, szczególnie nie trzymały się głowy. Zdawał sobie z tego sprawę. Nieraz pytał się po sto razy o jakieś błahe – ale dla niego podstawowego znaczenia! – rzeczy. Słyszał komentarze, widział zniecierpliwienie. Więc z czasem przestał dopytywać. W końcu jakie to miało znaczenie, który to rok? Chyba tylko takie, żeby wiedzieć, co wykuć na nagrobku...

Zapadł zmierzch. Bardziej to wyczuł, niż zobaczył, gdyż oczy miał słabe, a tutaj – w grubych murach z wąskimi oknami, pociętymi w dodatku na mniejsze kwatery – właściwie przez cały czas panował półmrok. Wreszcie skończył się długi, ciągnący się w nieskończoność dzień, sztucznie uroczysty, spędzany w niechcianym towarzystwie, w atmosferze wymuszonej radości. Było już po kolacji i po wieczornym obchodzie, a stary człowiek – jak zwykle z cudzą pomocą – został podniesiony ze swojego inwalidzkiego fotela, obmyty i złożony do łóżka.

Teraz miała się zacząć noc, jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej nieznośna. Nawet wtedy nie był sam, wtedy przychodzili oni. Zawsze wiedział, kiedy się zbliżają. Przez pokój, mimo sprawnie działającego ogrzewania, wiało wtedy chłodem.

Pierwszy cień zamajaczył na tle okna. Inwalida poznał go od razu. Ciągle jeszcze pamiętał, jak się ten mężczyzna nazywał. Mróz. Wojciech Mróz, stróż z kamienicy na Długiej. Od niego się to wszystko zaczęło!

Przesunął dłońią po zmęczonych oczach, ale nie płakał. Od dawna już nie umiał płakać.

– Znowu jesteś? Czego chcesz? – zapytał schrypniętym głosem.

W oczach zjawy była pustka. Ani oskarżenie, ani wyrzut, ani śladu cierpień. Z innych stron zaczęli pojawiać się następni.

– Po co tu przychodzicie?! Nie mam wam nic do powiedzenia! – krzyknął stary człowiek, kiedy już nie mógł dłużej tego wytrzymać. – Niczego nie żałuję!

Zasłonił twarz rękami.

– Zostawcie mnie w spokoju! Dajcie mi wreszcie umrzeć...

W korytarzu usłyszał spieszne kroki, ktoś nacisnęła klamkę. W drzwiach stanęła pielęgniarka. Lubił ją, bo okazywała mu serce, zawsze szybko reagując, gdy zaczynał krzyczeć. Może nawet więcej niż lubił... Ale kto by się teraz nad tym zastanawiał.

Pstryknął włącznik światła, pokój zalał jaskrawy blask. Mężczyzna jęknął boleśnie i osłonił dłońią oczy. Nienawidził tej żarówki, choć jej zapalenie – już prawie każdej nocy – oznaczało dla niego ratunek.

– Jemu powiedzcie, żeby do mnie przyszedł! – zawołał pośpiesznie, gdyż cienie właśnie zaczęły się rozwiewać. – Tylko na niego czekam!

Poczuł ręce kobiety na swoim ramieniu, potem mokre i zimne muśnięcie waty nasączonej spirytusem. Przygotowała strzykawkę, uniosła ją w górę.

– Chcą, żebym się pokajał! – zwrócił się do niej, gdy tamtych już przy nim nie było. W jego głosie słyhać było szyderstwo i nuty hysterii. – Chcą, żebym ich przeprosił! Niedoczekanie...

– Dobrze, już dobrze – uspokajała go, jednocześnie wbijając w mięsień igłę.

– Jest tylko jedna rzecz, której naprawdę w życiu żałuję – ciągnął, nie zwracając uwagi na ból. – Nie do naprawienia, niestety. Tylko to jedno...

– Ciii... Już dobrze, dobrze. Zaraz zastrzyk zacznie działać, zaraz zaśniesz.

– To nie daje mi spokoju! – poskarżył się. – Czekam... Inni przychodzą. Ale nie on...

– Śpij...

– Czemu on nie chce przyjść?! Tylko z nim mam o czym gadać...

– Śnij dobre rzeczy. Śpij...

Stary człowiek posłusznie zamknął oczy. Zobaczył to, co widział zawsze, gdy dawała mu środki uspokajające. Zobaczył daleki kraj nad Wisłą. Znowu był młody i wreszcie stapał bez wysiłku, sprężysto. Wydawało mu się, że cały świat do niego należy. Błonia się zieleńiły, a słońce odbijało w hełmach wież na Wawelu. Było lato. Słyszał nawet śpiew ptaków!

Szybkim krokiem ruszył w stronę rogatki na Wolskiej.



– Psiakość! Na starość człowiek coraz bardziej się rozkleja!

Staszek dopił swój kieliszek jednym haustem. Oczy miał znowu mokre, wytarł je niedbale wierzchem dłoni, a potem wstał i podszedł do okna. Pachniało choinką i bigosem, a w kuchni Mrozowa wściekle tłukła się garnkami, zmywając zapewne po nocnej imprezie. Dopiero po dłuższej chwili Maksymilian odważył się przerwać milczenie.

– No, ale co z tym Bayerem?

Gospodarz odwrócił się do niego. Miał już swój zwykły wyraz twarzy.

– No i ten Bayer zachowywał się tak, jak gdyby chciał tu zostać. Włączył się nawet w naszą straż obywatelską. Ale już wtedy ludzie na niego krzywo patrzyli, choć wcześniej to go nawet dość lubiano...

– No i co się z nim stało?! Wyjechał wreszcie?

– A kto go tam wie! – Wzruszył ramionami Staszek.
– Zniknął gdzieś bez śladu krótko po tym, jak już Ruscy weszli. Może i wyjechał. Pani Isia w tym czasie była ciężko chora, mówią, że ledwo ją doktor Petrycy odratował. Szukała potem tego Bayera, rozpytywała wszystkich w okolicy, dowiadywała się u bolszewików, czy go nie aresztowali, pisała listy do Czerwonego Krzyża, nawet kogoś z zagranicy prosiła o pomoc. Ale niczego się nie dowiedziała albo też nikomu o tym nie powiedziała. Zresztą, mało to było takich, co nigdy się o losie swoich bliskich nie dowiedzieli? Ja też straciłem dwóch braci i do dziś nie wiem, gdzie jest jeden z nich pochowany. A ten Niemiec... Nie mówię, że był jej jakoś szczególnie bliski, broń Boże, ale chyba miała dla niego szacunek. Nikomu złęgo słowa o nim nie pozwoliła powiedzieć.

Staszek Mróz przez chwilę patrzył doktorowi prosto w oczy, a potem opuścił wzrok i jął studiować mętny płyn w kieliszku.

– No, mów! – ponaglił go Maksymilian.

– Cóż ja mogę więcej... To nie moje sprawy, tylko pani Isi. Porządna kobieta, dobra, patriotyczna. Świętej pamięci doktor Petrycy świata za nią nie widział! Tyle lat szczęśliwie razem przeżyli!

– Dobrze, dobrze! – przerwał mu Maksymilian. Historię związku swoich rodziców znał wystarczająco. – A ten Bayer?

Staszek łyknął nalewki i przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. W zamyśleniu podrapał się po szczecinie porastającej policzki.

– Była taka jedna sprawa... kawałek dalej, na Pędzichowie – podjął wątek, ważąc słowa. – Mieszkał tam pewien piekarz z rodziną. No i jednego dnia, w czterdziestym trzecim, nie wiadomo właściwie dlaczego... choć niektórzy się chyba domyślali... wszystkich ich rozstrzelano. Tak po prostu, na podwórku przed domem. Przyjechała policja, zrobiła swoje, nawet pół godziny to wszystko nie trwało, potem sprzątnęli ciała na jakiś wóz i tyle.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego...?

– Chodziły potem słuchy, że właśnie Bayer miał z tym coś wspólnego. Ten piekarz to mu podpadł kilka razy, bo on gębę miał niewyparzoną, na wszystkich sobaczył, na Szwabów, na Żydów, na Ruskich... Dzieciaki też zawsze z ulicy i podwórka przeganiał. Nikt go nie lubił, no ale przecież nie do tego stopnia, żeby na niego donieść – ciągnął

majster. – Więc ludzie byli w szoku. No i Bayera oskarżano po cichu o to, co tam zaszło. Podobno się kiedyś odgrażał, że z tym piekarzem porządek zrobi. Ale wiem, że pani Isia do końca go broniła. Nawet wtedy, już po wyzwoleniu, jak ta sprawa zaczęła być głośna. Musiała mu wierzyć, ot co. A przecież pani Isia, kobieta mądra, nie wierzyłaby byle komu! To musiał być dobry człowiek, skoro ona tak za nim była, nieważne, co ludzie potem gadali...

Petrycy odetchnął głęboko, sięgnął po butelkę, nalał sobie pełny kieliszek i łyknął go jak lekarstwo, a potem nalał sobie jeszcze raz i też wypił. Długą chwilę siedzieli bez słowa.

– Ale jednak zniknął bez śladu! – powiedział wreszcie twardo Petrycy. – Widać musiał coś mieć na sumieniu, skoro się tak dobrze na tyle lat schował. I teraz nagle, po pół wieku, postanowił odszukać moją matkę. Dlaczego?!

– A żebym to ja wiedział! – wykrzyknął majster. Wspomnienie pamiętnego letniego dnia, dnia śmierci Jadwigi, ciągle jeszcze budziło w nim wielkie emocje. – Nie do wiary! Po tylu latach dowiedziała się, że on żyje! I to jak? Z prasy! Strasznie to nią wstrząsnęło! Przeczytać o tym wszystkim w gazecie!

Doktor się nie odezwał, tylko pociągnął nosem.

– I co za pech, że mnie tam akurat nie było na Długiej, jak ta Niemka z Monachium rozpytywała ludzi o dawne czasy! Przecież wszystko bym jej opowiedział, do pani Isi bym ją zaprowadził! Wszystko by było inaczej! Ale od kiedy mama umarła i ojczym tam teraz mieszka z tą swoją

córeczką, to jakoś przestałem przychodzić. To już nie jest mój dom.

Znowu siedzieli cicho, kiwając głowami. Jedno zasadnicze pytanie wisiało między nimi w gęstym od napięcia powietrzu. Wreszcie odezwał się majster:

– I nic ci nie powiedziała, zanim odeszła?

– No właśnie... Nic.

– Więc ja tym bardziej nie powinienem.

Maksymilian Petrycy poderwał głowę.

– Proszę. Jeśli tylko coś wiesz... Co ją z tym Niemcem łączyło?

– Nie chcę powtarzać plotek. Co ja wiem? Nic nie wiem na pewno. I nie powinienem szargać jej pamięci.

Doktor westchnął zniecierpliwiony. Trudno było Stasz-kowi odmówić racji, ale przecież po to przyszedł do niego, żeby się czegoś dowiedzieć.

– To powiedz chociaż jeszcze coś więcej o tym Bayerze!

– O nim też nic nie wiem. Ileż ja wtedy miałem, jak się wojna kończyła, dwanaście lat? Ot, dawał dzieciom cukierki i dla nas, sąsiadów, starał się być miły. A w panią Isię patrzył jak w obraz, wszyscy to widzieli... – urwał, zaplótł dłonie, jakby z zakłopotaniem. – Ja nigdy nie wierzyłem w te plotki. Ludzie bywają podli, różne rzeczy potrafią wymyślić.

– Jakie plotki?!

– Pani Isia pewnie sama by ci o wszystkim powiedziała, gdyby coś było na rzeczy.

– Ale nie powiedziała, a teraz nie żyje.

Znowu zapadła cisza. Obaj wpatrywali się w szlaczki na wytartym dywanie.

– A ja myślałem, że mam imię po świętym Maksymilianie Kolbem – mruknął pod nosem Petrycy.

Staszek wyprostował się. Wargi mu zadrżały. Chciał coś powiedzieć, ale tylko odkasznął.

– No mów! – ponaglił go Petrycy.

– Nie wiem, czy pani Isia by tego chciała. – Majster wyciągnął z kieszeni dresu wielką kraciatą chustkę i otarł nią oczy, a potem nos. Po raz kolejny napełnił kieliszki. Wyraźnie walczył ze sobą. – Ale zmarła tak nagle... Może chciała sama, tylko nie zdążyła...

– Właśnie. A ja muszę poznać prawdę. – Petrycy złapał go za nadgarstek tak gwałtownie, że miętówka chlapnęła na dywan. Żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. – Więc mów!

Staszek wahał się jeszcze przez chwilę, zastanawiał, a potem dokończył cicho, lecz dla Petrycego zabrzmiało to jak wystrzał armatni:

– Nigdy bym nie powtarzał podłych oszczerstw, szczególnie że ona nie może się już bronić. Ale teraz, jak tak patrzę... jak widzę twoją twarz... tak na moje oko... tylko z rysów sądząc... to jest pewne podobieństwo. On... mógł być twoim ojcem, Maksiu.

środa, 2 stycznia 1991

Naiwnością było zakładać, że drugiego stycznia – po pracowicie spędzonym sylwestrze i Nowym Roku – ktokolwiek pojawi się w Pałacu Prasy przed godziną dziewiątą.